

## Wspomnienia - Maria Witkowska (Maciałek)

Absolwentka Szkoły Podstawowej Nr 7  
Uczennica w latach 1950 do 1957.

### **W okresie tym uczyli następujący nauczyciele:**

Maria Płachta: kierownik szkoły,

Stefania Mołoń: wychowawca od mojej 1-szej do 4-tej klasy,

Władysław Lichoński: wychowawca od mojej 5-tej do 7-mej klasy.

Pozostali nauczyciele: Maria Sokołowicz, Julia Domaradzka, p. Rudowa, Jan Jaremkiewicz, Franciszek Grabowski.

Nauka religii: ks. Henczak, ks. Markiewicz, ks. Fila.

Do 1-szej klasy, przybyłam z moją mamą Marią Maciałek.

Mama przedstawiła mnie nauczycielce pani Stanisławie Lenart. Byłam wtedy małą, nieśmiałą dziewczynką. Być może sprawiło to, że pomimo iż pani Lenart odeszła z naszej szkoły w 1950 roku, przez następne 11-cie kolejnych lat, interesowała się moim losem. Ona też, gdy nadszedł dzień matury i decyzji wyboru kierunku moich studiów, zasugerowała: Politechnika - Wydział Elektroniki (do tego tematu powrócę w dalszych wspomnieniach).

I tak zaczęła się moja 7-letnia edukacja w naszej szkole.

Budynek szkoły w tych latach był stary, nieremontowany. Ściany i okna były nieszczelne. Klasy szkolne ogrzewane węglem, przy pomocy pieców kaflowych.

Pracę tą wykonywał w godzinach rannych (przed lekcjami) woźny pan Bańko, nazywany „tercjaniem”. Nic dziwnego, że o godzinie 8-mej rano, było bardzo zimno, a na przerwach między lekcjami, uczniowie przepychali się aby zająć dobre miejsce pod piecem.

Zimy w latach 1950-1955 były bardzo ostre, temperatury powietrza często dochodziły do minus 30° C. Chodziliśmy do szkoły bardzo ciepło ubrani: buty, często tzw. walonki, a dziewczyny opatulone dodatkowo w babcine pledy.

Były też obfite opady śnieżne. Śnieg tworzył wysokie zasy utrudniające dzieciom dotarcie do szkoły. Osobiście pamiętam swoją przygodę związaną z taką śnieżną zaspą. Wracając ze szkoły (1-sza lub 2-ga klasa – rok 1950/1951), wpadłam w głęboką zaspę usytuowaną koło p.p. Wierzbieńców, ul. Brodowicze. Na szczęście, wracał również ze szkoły mój kolega klasowy Władziu Ośmak. Wysoki silny chłopak. Rzucił się natychmiast na mój ratunek. Równocześnie, mój tato Franciszek przewidując kłopoty, szedł już w naszą stronę. Tato i Władziu swobodnie pokonali zaspę. Przez wiele lat, tato przypominał mi, że Władziu uratował mi życie. Władziu – po 62-ch latach-bardzo Ci dziękuję.

Ciekawostką naszej szkoły był fakt, że jeszcze w roku 1950/1951 (być może dłużej) obowiązywał stary, może jeszcze galicyjski, system cyfrowej oceny szkolnych przedmiotów:

I tak: „1”- stopień bardzo dobry,

„2” „ dobry,

„3” „ dostateczny,

„4” „ niedostateczny.

Oczywiście dziewczyny starały się dostawać zwłaszcza w zeszytach „1”.

Przed 1-szą lekcją codziennie obowiązywał „szkolny apel”. Staliśmy na korytarzu ustawieni klasami. Była to okazja, aby nasza pani Maria Sokołowicz mogła sprawdzić czystość naszego obuwia. Powtarzała nam przysłowie: „Poznać pana po cholewach”. Uczeń z brudnymi butami dostawał ustną reprymendę, zaś za buty błyszczące była budująca pochwała. Nie było to łatwe do wykonania, gdyż drogi prowadzące do szkoły były nieutwardzone. Buty grzęzły w błocie.

Zwyczajem( prawdopodobnie w tych latach nawet obowiązkiem) było czczenie rocznicy śmierci generała Świerczewskiego „Waltera”.

W związku z powyższym, co roku, w marcu, w rocznicę śmierci generała, pan Jaremkiewicz (nauczyciel gimnastyki) organizował nam dosyć dalekie biegi klasowe. W ten sposób czciliśmy śmierć – jak nas wtedy uczono -„tego, który się kulom nie kłaniał”.

Ja byłam bardzo dobrą uczennicą. Ale to rodziło dodatkowe zobowiązania. Taka uczennica powinna być również bardzo dobrą sportsmenką oraz wokalistką.

W związku z tym, pan Jaremkiewicz typował mnie na różne sportowe igrzyska powiatowe w Jarosławiu. I tak, był tzw. bieg płaski na nartach. Musiałam w nim uczestniczyć, pomimo, że pierwszy raz założono mi narty, w czasie tych zawodów. Wynik był bardzo dobry (1-sze miejsce). Widocznie wystarczyła moja ogólna sprawność fizyczna. Natomiast, gdy zostałam oddelegowana na powiatowe zawody w skoku ”wzwyż”, nie przyniosłam splendoru szkole. Skok na wysokość 50 cm, był dla mnie problemem. Ale przecież w szkole tego nie trenowaliśmy.

Miałam również zobowiązania wokalistyczne. Ksiądz Henczak, ucząc nas religii, uczył nas również śpiewać pieśni kościelne. Oczywiście, uczennicą, która pierwsza śpiewała solo po takiej nowej lekcji, była moja osoba. Po latach zastanawiałam się, jak to brzmiało. Nigdy mój głos nie był wyróżniającym się głosem, w przeciwieństwie do wokalu mojej mamy, czy siostry Lucyny.

Również, jako dobra uczennica, byłam dodatkowo nagradzana. Przez kilka lat, w czasie wakacji wyjeżdżałam na obozy harcerskie. Obozy te najczęściej były organizowane w dzikich jeszcze Bieszczadach. Nie były to luksusy. Mieszkanie

w namiocie wojskowym, mycie się w rzece San. W nocy warty nocne, a w oddali wycie wilków. Hart ducha na całe życie. Wracałam po takich obozach z nowymi stopniami i specjalnościami harcerskimi. To zaowocowało tym, że będąc już uczennicą w Liceum, byłam zobowiązana „prowadzić harcerstwo” w naszej 7 - demce, jako pomoc dla szefowej harcerstwa tj. pomoc dla pani Teresy Woluntkowskiej, a później dla pani Peszko.

### **Nasi pozostali nauczyciele.**

Języka rosyjskiego uczyła nas pani Maria Płachta. Wyniki były doskonałe. Wystarczy przypomnieć, że w Liceum Ogólnokształcącym pani profesor Gilewicz, ucząca tam języka rosyjskiego, zawsze mówiła: „uczniowie z 7-demki są zawsze doskonale przygotowani z tego przedmiotu”.

W ostatniej tj. 7-mej klasie, do grona nauczycielskiego dokooptował młody, inteligentny nauczyciel historii - Franciszek Grabowski. Był świeżym absolwentem uczelni w Poznaniu. Był to wrzesień 1956 rok. Okres bezpośredni po tzw. „poznańskich wypadkach czerwcowych”. Z wielką uwagą i ciekawością słuchaliśmy jego relacji z tych wypadków, na szkolnym dziedzińcu w czasie porannego apelu. Przecież to był okres, kiedy nie było w naszych domach ani radia, ani telewizora.

Moim faworytem był nasz wychowawca pan Władysław Lichoński.

Był wspaniałym człowiekiem i nauczycielem matematyki. Potrafił mnie nie tylko nauczyć tego przedmiotu ale i wzbudzić chyba jakąś pasję. Matematyka była do końca matury moją przyjemnością. Przy odrabianiu lekcji, zadania z matematyki zostawiałam na koniec, jako rozrywkę . To była zabawa, a nie obowiązek.

Moja pasja zaowocowała tym, że po ukończeniu Liceum, ukończyłam Politechnikę Gdańską, Wydział Elektroniki. Kierunek studiów został wybrany ze względu na ilość godzin matematyki. Pomocy w wyborze kierunku studiów udzieliła mi wspomniana już na początku moich wspomnień, życzliwa mi dawna nauczycielka naszej szkoły, pani Stanisława Lenart.





Prawdopodobnie drużyna harcerska - rok 1957/58.

